

Anna Nasiłowska

Co się zmieniło?

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1 (25), 1-4

1994

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

teksty

D R U G I E

1

1994

Dwumiesięcznik
Instytutu
Badań
Literackich
PAN

TEORIA LITERATURY KRYTYKA INTERPRETACJA

Co się zmieniło?

Przez prasę literacką niedawno przeszła fala ankiet. Różnie brzmiały stawiane w nich pytania, a odpowiedzi, naturalnie, różniły się jeszcze bardziej między sobą ze względu na poglądy ich autorów. Prawdę mówiąc, daloby się jednak odnaleźć pewien dominujący podtekst. To zdziwienie, dlaczego jest tak źle, skoro jest tak dobrze, czyli dlaczego mimo zasadniczej zmiany, o jaką literatura upominała się, czy wręcz walczyła, nie widać ani przelomu, ani nawet zwiastunów jakiegoś poważniejszego odnowienia stylu. Od lat osiemdziesiątych kanon autorów „u-znanych” prawie nie uległ zmianom, tyle że się wewnętrznie „zdezorganizował”, tracąc spójność. Nie doszły nowe nazwiska, bo nie pojawiły się znaczące debiuty, nie było „rewelacji”. Do tej pory rytm przelomów politycznych pokrywał się z rytmem przelomów literackich, oczekiwania wynikają więc nie tylko z trzeźwej oceny sytuacji. Chodzi wręcz o pewien symboliczny sposób przeżywania czasu, wyraz dla świadomości, że od tej pory liczy się to „nowe”. W 1918 roku Skamandrycy przedstawili zaledwie efektowne fajerwerki, ale to wystarczyło. Nikt od tej pory nie wątpi, że wtedy właśnie otworzył się nowy rozdział.

Na zjeździe Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, jaki odbył się wiosną tego roku, dało się słyszeć sporo narzekania. Pojawiły się określenia: „jesteśmy znów debiutantami”, „musimy zaczynać wszystko od nowa”, czy nawet bładania, że totalitaryzm dobrze służył rozwojowi kultury, czego o demokracji powiedzieć na razie nie można. Pozostają niewczesne żale — gdyż „sam tego chciałeś, Grzegorz Dyndało”. Pogląd taki, wyrwany z kon-

tekstu, wygląda dość wrednie, przynajmniej dopóki nie zacznie się go oglądać z bliska. Bo wiadomo, że „totalitaryzm” to nie prawdziwy totalitaryzm, tylko to, z czym pisarze opozycyjni walczyli przez ostatnich kilkanaście lat, imputując tego rodzaju skłonności władzy, która była już bardzo słaba. A czy totalitaryzm może być słaby? I „dobrze służył” to nie to samo, co wspierał, a może nawet — wręcz przeciwnie. Literaturze dobrze robiło bowiem posiadanie klarownego obrazu wroga, choć sam ten obraz był tworem pewnej przesady polemicznej, a nie realistycznej oceny sytuacji. Jedno małe zdanko, a tylu wymaga uściśleń. „Totalitaryzm”, „komunizm” — to określenia nieomal magiczne, w których kryje się przede wszystkim sprzeciw używającego ich wobec autorytarnej władzy. Niestety, wydaje się, że w języku, jakim się mówi i myśli, takich „zdanek” jest pełno. Poglądy i hasła komplikują rozpoznania, stanowią wciąż szyfr przeniesiony z poprzedniej epoki. Granica między poglądem a przesądem nie jest niestety wyraźna.

Dawny paradygmat „kultury niezależnej” czy zaangażowanej wyczerpał się. To oczywiście wymaga jeszcze wielu dopowiedzeń i komentarzy. W tej chwili od różnych odpowiedzi na pytanie „dlaczego jest tak źle” zaczynają się istotne i głębokie podziały polityczne. Sam już jednak fakt, że ten niezadowolony, malkontencki styl wciąż dominuje, stanowczo psuje atmosferę, wywołuje zniecierpiwienie i niepokój. Mam swoje zdanie na ten temat — jeszcze tego by brakowało, żebyśmy nagle poczuli się jak w najlepszym z możliwych światów. Wszystko to nie ułatwia jednak rozpoznań, od których może zacząć się coś nowego. Niedawne a już tak odległe czasy „kultury powielaczowej” wydają się czasem słodkim rajem w porównaniu z obecnymi. Wszystko było jasne, określone. Formuła, jaką zastosowała niegdyś w tytule swojej książki Teresa Torańska, wydawała się oczywista. „Oni” — bo naprzeciw byliśmy „my”. My walczyliśmy z „nimi” jak się tylko dało: były gazetki, książki, a teksty drukowane oficjalnie miały swoje czytelne podteksty i wyraźne mrugnięcia okiem. Jakże inny był sens określenia „szara strefa”! Teraz mówi się tak o nie kontrolowanych przez urzędy skarbowe dochodach, jeszcze kilka lat temu tak określano w publicystyce politycznej to, co leży między biegunem niezależności a oficjalną propagandą, co pozwala na owe „mrugnięcia”. Już wtedy rysowały się różnice stanowisk, wystarczy przypomnieć „Traktat o gnidach” Piotra Wierzbickiego i dyskusję, która potem nastąpiła. To była już zapowiedź obecnych skomplikowanych podziałów. A jednak — wciąż żył mit wspólnoty, miło było czuć w niej oparcie, kultywować jej piękny obraz, oparty na idealach i szlachetności.

Ten mit miał jednak swoją cenę i, co więcej, do dziś nie została ona splacona. Szkic Stefana Chwina, stawiający wprost pytanie, dlaczego literatura polska nie była w stanie przewidzieć upadku starego systemu, przyjęłam z poczuciem ulgi. Nareszcie. Jak każda diagnoza, nie każdemu musi wydać się trafna. Mnie akurat wydaje się niezwykle przekonująca. Jeszcze ważniejsze jest jednak coś innego. To wyraźny dowód, że sposób patrzenia na doświadczenie literatury w PRL się zmienia, że przestają obowiązywać dawne ograniczenia wynikające z uwikłania wszystkiego, co się pisze i wypowiada publicznie, w dualizm my — oni.

Pisze się dla kogoś, ale i przeciwko komuś. To bardzo ważne, bo dzięki temu dzieło literackie i tekst krytyczny stają się czytelne w pewnym układzie, odnajdują drogę do swoich czytelników, określają się wobec swego czasu i dotyczą bezpośrednio tego, co w danej chwili wydaje się najważniejsze. Taki był przypadek Herberta i towarzyszącej mu w latach osiemdziesiątych krytyki: jego poezję czytano jako kodeks niezależnej etyki, wyraz oporu społecznego. Zadałam sobie kiedyś sporo trudu, by sprawdzić jak na wiersze Herberta reaguje krytyka niemiecka. Interesowało mnie, jak przyjmowana jest kulturowość tej poezji i czy stanowi ona podstawę interpretacji. Co zostaje nie tylko z poezji po przetłumaczeniu, ale i z towarzyszącej jej otoczki? To było dla mnie szokujące, ale odczytywano ją najczęściej poprzez kontekst polski, tak samo odnosząc ją do układu my — oni i wypowiadając wprost te myśli, które u nas, poza drugim obiegiem, funkcjonowały w czytelnym dla wszystkich podtekście, kryły się w owych „porozumiewawczych mrugnięciach”, które dopuszczała cenzura, a domyślni czytelnicy w lot podchwytywali. Nawet więc przeniesienie w świat innego języka i innej kultury nie niweczyło owego kontekstu, jakby był on czymś zupełnie oczywistym. A przecież — jest to zawężenie przesłania samego tekstu, a nawet — jego instrumentalizacja. I jeśli dziś karta się odwróciła i to, co jeszcze kilka lat temu wydawało się tak wspaniale, celne, głębokie, teraz budzi zniecierpliwienie i odruch odrzucenia, z pewnością również nie jest to „sprawiedliwe”. Na dawne znaczenia nałożyły się wszystkie całkiem niedawne i bolesne rozczarowania. Sytuacja dzisiejsza nie polega na tym, że nie ma dzieł. Owszem, jest ich trochę. Nawet pojawiają się debiuty, są wydawane w niskim nakładzie i przeważnie przechodzą bez echa. Nowe utwory wydają też starsi pisarze: Szymborska, Różewicz, Herbert — ostatnio pojawiły się przecież ich znakomite tomy. Wszystko jednak, mimo swego poziomu, wydaje się jakoś „niekonieczne”, nie ma układu zapewniającego tym dziełom nośność,

sprawiającego, że stają się głosem czytelnym i niezbędnym, oczekiwanym w napięciu. Co więcej, cała sfera kultury znalazła się jakby na marginesie. Czy pamiętamy jeszcze kolejki do księgarni, gdy właśnie „mieli rzucić” nowości? To naprawdę nie dlatego czekano przed drzwiami księgarni, że nakłady były bardzo niskie, wręcz przeciwnie, teraz ten pulap okazuje się prawie nieosiągalny.

Mam nadzieję, że doraźność polityczna przestanie określać literaturę, gdyż ją po prostu zubaża. I jeśli kiedyś owo zawężenie sensu przyjmowano chętnie, godząc się na uproszczenia, to teraz przestanie to już wystarczać. Piszę w czasie przyszyłym, bo jednak to wciąż się nie stało. Trudno uwolnić się od presji psychicznej, czasami tak silnej, że dezorganizuje ona wszystkie inne zajęcia, myśli i emocje. Zaczynałam pisać ten felieton przed wyborami, kończę po wyborach i zastanawiam się, co się znów zmieniło i jakie akcenty trzeba by znów rozkładać inaczej. Ale nie, niech zostanie, przecież do czasu, gdy numer ten trafi do rąk czytelnika, może się znowu wszystko zmienić.

Anna Nasiłowska

Redakcja przeprasza

W artykule „Po śmierci Boga (O twórczości Tadeusza Różewicza)”, opublikowanym w numerze 3 pisma, znalazł się błąd druku zniekształcający tekst autora.

Na stronie 31 wydrukowano: „fenomenologię wiary”; powinno być: „fenomenologię nie-wiary”.

Autora, Pana Aleksandra Fiuta, serdecznie przepraszamy.